

## STANISŁAW ANDRZEJ ŁUKOWSKI

ur. 1940; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, dzieciństwo, życie codzienne, pies, sąsiedzi

### Pies Reks

Stawiano słupy, oczywiście drewniane, na tych słupach montowano takie poprzeczki metalowe, a na te poprzeczki zakładano tak zwane lalki, to były takie kulki nie kulki z miejscem na kabel, porcelanowe. Chodziło o to, żeby zawinąć ten kabel i dalej ciągnąć. Oczywiście ci elektrycy mieli takie raki zakładane na buty, zębate, wchodzili na ten słup i tam [zakładali kable]. I była taka historia, że chodził za nimi taki mały wilczek, pies, ale był tak wynędzniały, że dosłownie się chwiały, mój ojciec nie mógł patrzeć, jak oni się zbliżyli do naszego domu – tam był słup naprzeciw, na którym mocowali latarnię, zresztą taką na łańcuchu, że ona się kołysała, jak wiatr był, jedna jedyna, która była na tej ulicy – wyszedł i mówi: „Panowie, co wy robicie z tym psem?”. Mój ojciec był wielkim miłośnikiem psów i to dużych psów, a matka z kolei kochała koty, co nie znaczy, że nie lubiła psów, ale w preferencji u ojca były psy, a u matki koty i zwierzęta to odróżniały. Koty na przykład nie garnęły się do ojca, do mnie tak, ale do ojca nie, znaczy, w porządku wszystko było, ale żeby tak jak do mnie – wleźć na mnie, owinać mi się na szyi – nigdy u ojca takich rzeczy nie robiły. No i mówi: „Panowie, co wy robicie z tym psem? Przecież to niemożliwe, on padnie z głodu!”, oni mówią: „No, panie, no, kurwa, kiszonych ogórków nie je, wody nie pije, no to co mu dać?”, ci elektrycy cały czas byli podcięci, nawaleni. Ojciec mówi: „Dobra, zabieram tego psa”, a oni: „Nie za darmo”, „Dobra, idę na górę, ćwiartkę przynoszę”, „Połówka się nam [należy]”, „Połówki to wy nie jesteście warci, ćwiartka”. Była wódka wtedy, pamiętam, z takimi naklejkami, niebieską i czerwoną, nie bardzo wiem, czym to się różniło, korki były korkowe, a później wycofali to i były papierowe, ale oblewane lakiem, takim brunatnym lakiem. Ojciec zniósł im tę ćwiartkę, no i w porządku, matka tego psa odżywiała tak, jak człowieka, który przeszedł ogromną głódówkę. Pomaleńku dawała mu, gotowała mu specjalne kleiki, różne takie historie, ten pies, jakby mu dać, to tonę by czegoś tam zjadł, ale matka nie pozwalała. I on dosłownie na oczach naszych na przestrzeni krótkiego czasu zaczął niesamowicie rosnąć, później doszło do tego, że matka mu taką michę ogromną przygotowywała i on to

zmiatał i jeszcze patrzył, czy czegoś by nie zjeść.

Ojciec go nazwał Reks, król, ale mówi tak do mnie: „Synu, to jest dla ciebie pies i to jest twój pies – i ten pies się rzeczywiście garnął do mnie – ty wszystkie sprawy z nim załatwiasz. Zapamiętaj jedno: tego psa nie masz prawa wypuścić luzem”. Nie było tak jak teraz możliwości takich, [żeby] kupić smycz, to sam [ojciec] zrobił smycz, przeciął pasek na pół i tam takimi wiązaniami, bardzo zgrabnie to [zrobił], tak że to nawet ładnie wyglądało i ja tego psa wyprowadzałem.

Kiedyś ten pies miał jakąś awarię żołądkową, więc podszedł do mnie, odgarnął mi kołdrę, tak to robił, i liże mi stopy, nie daje się wytrzymać tego, liże gołą stopę, to godzina może była pierwsza, może dwunasta. Odganiałem go, no, ale nie ma wyjścia, muszę wstać z nim, żeby go wyprowadzić. Ojciec czujnie tylko oko otworzył, wstałem, buty na przyboś – nie wkładam skarpety, nic, tylko na przyboś; był taki znakomity poeta z Pogórza, Julian Przyboś, to właśnie od buta, tam „przyboś” to jest takie powszechne, kiedyś tak używano – w piżamie, pamiętam, była taka wredna pogoda, było to albo wczesną wiosną, albo może późną jesienią, tapła się taki śnieg, myślę sobie: „Cholera, co go będę trzymał na smyczy, będzie szukał swojego miejsca, a ja muszę dreptać za nim”, no to tę smycz odpiąłem z obroży, on się tam pokręcił, pokręcił, no, załatwił swoje. Ale idzie z nocnej zmiany kolejarz, niedaleko nas mieszkał – nawiasem mówiąc wówczas alkoholik, ale wyleczył się z tego alkoholizmu, bez żadnych lekarzy i tak dalej, tylko żona to tak umiejętnie zrobiła, że dała radę – który właśnie z takich szpałów kolejowych pobudował dom, no i ten mój Reks bardzo przyjacielsko nastawiony do ludzi, podbiegł do niego, po drugiej stronie ulicy szedł. Nie było chodników, jak były chodniki, to tylko z jednej płytki takiej się składały, a tak to błoto jak cholera i trzeba było uważać, żeby tymi płytkami się poruszać po tej ulicy. Podbiegł do niego, chciał się przywitać, a to potężne już psisko było, położył mu łapy na ramiona i liz go z jednej strony po twarzy, liz go z drugiej strony, a ten facet bryk, leży w tej brei. Myślę: „Rany Boskie! Przepadłem! Umarł człowiek!”, ale boję się wołać tego Reksa, on tam się pokręcił i wraca już do mnie, ja nie mogłem spać w nocy. Człowiek wpada w jakąś taką sytuację, no, że nie wiadomo, co ze sobą zrobić, no – umarł człowiek, z mojej winy, to jest coś niewyobrażalnego. Wróciłem do domu, położyłem się rozdygotany, do rana nie spałem.

Moja matka przyjaźniła się z żoną tego człowieka, który tam troszeczkę dalej mieszkał, po drugiej stronie ulicy, przychodzi ta kobieta do mojej matki, mówi: „Pani Łukowska – nie zwracano się tak jak dzisiaj po imieniu czy coś w tym guście, tylko po nazwisku albo była Stefanowa, czyli żona Stefana, mój ojciec miał na imię Władysław, ale nie mówiono na przykład „ta od Władka” czy „ta Władkowa”, tylko Łukowska, być może to kwestia była szacunku w stosunku do rodziny i tak dalej – mój już się kończy”, „Co się stało?”, „Wie pani, co on mi opowiada? Trzeba będzie go do Abramowic oddać, bo nie wiadomo, co się z nim dzieje. Szedł z roboty, późno w nocy, mówi: szatan go spotkał!”, „Gdzie?”, „Tu u nas, na tej ulicy naszej!”, „Jak to?”, „No tak: podniosło się coś straszego, oparło łapami, kudłate to, zieleje ogniem, aż

parzy w gębę. Przyszedł uszargany, z przodu nie, ale z tyłu. Ja przestraszyłam się, co się dzieje, a on nawet nic nie był w stanie powiedzieć. Coś się z nim straszno zaczęło dziać”. Matka jak ojcu to relacjonowała, ojciec popatrzył na mnie i: „Synu, ile razy mam ci jeszcze powtórzyć, że pies musi być na smyczy?”. Ja mówię: „Tato, ale taki hyc był, nikogo nie widziałem na ulicy!”. „A widzisz – mówi – nie przewidziałeś takiej historii, że może ktoś iść na przykład. Życie nie polega na tym, że jest jakiś przepis, to go ominiesz, tylko to ktoś wymyślił po to, żeby przestrzegać, masz nauczkę. Nie wolno! Synu, jak ci powiedziałem, że na smyczy, to ja już mam wyobraźnię inną trochę, bo mam swoje lata. A tobie to się wydawało: «a, to tam poleci w jedną stronę, poleci w drugą, zakręci się, zrobi swoje i wróci». No i popatrz, człowieka trafił, przecież mógł umrzeć facet na serce”. Ja mówię: „Tato, no, ale nie umarł”. „Ale człowieku! Postaw się w sytuacji, że umarł. I co?”. No, rzeczywiście, gdyby umarł, to ja nie wiem, jakby człowiek sobie dawał radę z tym wszystkim. Ja w pierwszym rzucie to myślałem, że umarł, tak samo jak z tym hyclem, myśleliśmy wszyscy, że facet kołami do góry i już jest po nim.

Tak że brak w dzisiejszych czasach, już bez względu na to, że [ludzie] zagonieni i tak dalej, tego smaku życia. Nawet nie przez technikę, tylko przez bzdurne historie, które gdzieś tam się rozgrywają i człowiek wchodzi w to emocjonalnie, te Facebooki i tak dalej.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2015-06-08, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Marek Nawratowicz
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"